Rok IV.

Nr. 21. **Nr. 21.**

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent.

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 23 maja 1874.

Ulica Wodna Nr. 15.

✝

Hołd pogrobowy

Helenie z hr. Kwileckich Turno

Żonie i matce bohatyrów, — przyjaciółce:

Stefana Garczyńskiego, Adama Mićkiewicza, Wincentego Pola,

Orędowniczce nauk, — dobrodziejce włościan, — wzorowéj Polce Obywatelce

zgasłéj 8 maja 1874 w Poznaniu.

Anioł wcielony w postać kobiety,
Co dziś uleciał z swéj ziemskiéj klatki:
Polki, dziewicy, żony i matki
Świetnym był wzorem!... Wieszcze bukiety

Słali Jéj w hołdzie, — i Jéj zalety
Ze łzą wspomina mieszkaniec chatki, —
I męże światła swéj czci zadatki
Ślą, patrząc za Nję, w niebo... niestety!..

Patrz, idzie POLSKA! — i nad Jéj urną
Stanęła smutna: że promień śliczny
Zgasł z jéj prześwietnéj tu aureoli...

O, bo w dzisiajszych walk naszych doli
Takich jéj ozdób — zastęp nie liczny
Jak ta — Helena z Kwileckich Turno!!!..

Poznań, 8 maja 1874.

„Curiosum!“ „Jak to Niemcy mówią: Auch eine Ansicht!“

dla polskich pism co do obrazów Matejki.

„Gazeta Lwowska“ (Nr. 110, 1874. Notatki literackie i artystyczne) pod artykulikiem: „De gustibus non est disputandum“ — podaje nasz sąd o duchu kompozycji w obrazach Jana Matejki — jako: osobliwość (curiosum). Redakcja téj Gazety dosłownie przytacza nasz przypisek ze strony 142 Tyg. Wielkop. i dodaje mu ogonek następujący: „Jak to mówią Niemcy: Auch eine Ansicht!“ — Mądréj głowie — dość na słowie. Ale i my lubo nie mądrzy — cudem jakimś odgadliśmy to słowo niewypowiedzialne i niewypowiedziane Gazety Lwowskiéj.

Jak najuprzejmiéj upraszamy Redakcję téj Gazety, ażeby jako dalszy ciąg tego „curiosum“ — a zawsze z ogonkami „i to jest widzimisię!“ raczyła umieszczać i artykuły krytyczne paryzkich znawców o obrazie Jana Matejki: „Batory pod Wielkiemi Łukami.“ Mówi o tém bardzo artystycznie — głęboki malarstwa znawca z urodzenia, bynajmniéj nie z nauki, bo téj u krytyków naszych dziś jeszcze nie potrzeba do oceniania cudów Matejki, „którymu cześć i chwała wieczna, jak wieczne będą jego utwory: pomniki trwalsze nad spiż“, — ale, są słowa tego znawcy, korespondenta — do znakomicie artystycznego pisma: „Dziennika Poznańskiego“ (Nr. 112, 1874): ale krytycy (paryzcy ma się rozumieć) z małemi wyjątkami same także głupstwa (sic) piszą o tém arcydziele... drudzy zgoła nic nie rozumieją, a zatém wolą zamilczeć, inni znowu (p. Wolff naprzykład w Gaulois) chcieliby wyszydzać ten utwór genjalny, a dowodzą tylko własnéj głupoty i upodlenia (sic)... I chciałoby się zawołać jeszcze mniéj grzecznie: (perły przed świnie) „Margaritas ante porcas!“

Ta — dla fetyszów matejkowskich: „Czasu“, „Gazety Narodowéj“, Lwowskiéj“ i dla „Dziennika Poznańskiego“ wzorowie piękna i artystyczna krytyka krytyk — niestety nie zgadza się z „curiosami“, — „Auch eine Ansicht“ — Tygodnika Wielkopolskiego, — którego obowiązkiem jest stanąć raczéj w rzędzie paryzkich „głupców“ i „podlców“ — niż po stronie urodzonych znawców „matejkowskich fetyszów“, — bo nasze pismo powinno być: artystycznych prawd nie mody organem.

Widocznie „ogłupieliśmy!“ Mimo wielkiéj ekskomuniki — jaką na nas rzuca galicyjska i krakowska prasa za naszą herezję przeciw najświętszym cudom Matejki, — gdy myślimy o fetyszu matejkowskiego cudu, t. j. o arcy-eleganckim i salonowym co do swych wyrażeń i pojęć artystycznych korespondencie Dziennika Poznańskiego z Paryża, — jak i o cudzie samego cudotwórcy Matejki „Stefanie Batorym“, — żałujemy bardzo że to nawet i w Paryżu — nie zrobią z owsa ryżu.

Jeszcze w r. 1872 oceniliśmy obraz Matejki „Batorego“ jako niższéj wartości co do kompozycji — niżeli obraz Jaroczyńskiego: „Traktat toruński“ — i dziś to samo twierdzimy. — Fetysze matejkowskich cudów w Czasie — zbryzgali błotem krytyki ten obraz, a za nimi i fetyszątka warszawskie — powtarzali za panią matką pacierz.

Przypominamy tu, że tak samo nam się stało 1860 czy 1861 r. w Warszawie. Wystawił Maurycy hr. Potocki kupioną marmurową grupę Fauna i bachantki — jakiegoś włoskiego rzeźbiarza, kupioną za 10,000 złp. Urodzeni znawcy wrzasnęli „cudo!“ — ale nam się wydał ów cud — cudakiem. Mieliśmy odwagę wypowiedzieć to w ówczesném piśmie J. I. Kraszewskiego. Jak grad sypnęły się na nas obelgi — ale ostatecznie, po dwutygodniowéj ciągłéj polemice — stanęły dwa obozy: fuszerów z p. Stattlerem na czele przeciw, a za nami artyści jak Simmler, Lesser, Oleszczyński Władysław i J. I. Kraszewski przerwał polemikę, nadając naszemu sądowi — zwycięztwo.

Dziś nie mamy po sobie rodaków, — ale Francuzów, paryzkich krytyków, — lubo wiemy i rodaków, którzy nam przytakują, ale że to są artyści, więc nie chcą się w chwili szału tego bałwochwalstwa odkrywać z obawy, ażeby ich o „zazdrość współzawodników“ nie posądzono.

Co do nas, — jako syn artysty malarza, jako zażyły znajomy lub przyjaciel albo i uczeń przez długie lata Oleszczyńskich, Szwedkowskiego, Małankiewicza, Charleta, Norbliua, Chazal'a, Lesourd de Beauregard'a, Pawła Delacroix, Achilla Deveria i w. i. w Paryżu; — teraz znów po 8-letnim pobycie we Włoszech, w których trzy ostatnie lata spędziliśmy we Wenecji w przyjaźni z takim artystą jak Nerly ojciec, — arcydziełami otoczeni od kolebki przez pół wieku — utworzyliśmy sobie sąd o rzeczach sztuki — według którego już nie potrzebujemy się na nikim opierać. Nie piszemy studenckich ćwiczeń, rozrzedzając atramentem słowa słyszane przez ludzi - którzy sami mało co widzieli. Takich ćwiczeń naczytaliśmy się w Kłosach, Bluszczu, Czasie i t. d. o obrazie Jaroczyńskiego Marjana — do sytu, i widzimy po prostu modę: ubóztwiania cokolwiek wyjdzie z pod pędzla Matejki. Fetyszyzm ten, chorobliwy jak manja bankowa, poniża wszystko inne — sądząc, że tém wyniesie rzecz ubóztwianą. Nasze przeciwnie zdanie osadzające Jana Matejkę w śmiertelników rzędzie — razi zaślepionych — i sądzą, że się tém krzywda czyni sztuce, krajowi, ludzkości, światu. Dotąd atoli jeżeli Matejko przewyższył kolorytem innych, — jeżeli pilnością i szczęśliwym wzrokiem wypatrzył, że tak powiemy, tajemnicę łamania się światła w kolorach — to jeszcze za tém nie idzie, ażeby był lepszym rysownikiem, bujniejszym kompozytorem, doskonalszym człowiekiem nad innych jemu współczesnych. A że w każdą pracę człowiek wlewa swego ducha, a wlewa takiego jakiego ma: przeto i Matejko — oprócz kolorytu wlewa w swe prace swe wady i cnoty jak każdy inny. Są rysunki Matejki — pod które mybyśmy się nie podpisali, n. p. „Kopernik.“ Albo — przypuszczając, że błędy powiększył rytownik w rycinie „Dzieci Matejki“, bośmy obrazu w oryginale nie widzieli, — to dziewczynka jest całkiém zfuszerowaną, koślawa w posturze, chłopca lewa ręka jest monstrualna, a trzecie dziecko na stole jest tak niezręcznie usadzoném, że już niezręczniéj nie można. Opieramy się na téj rycinie, bo jest bardzo rozpowszechnioną i każdy widzieć ją mógł i może. Co do kompozycji — w téj rycinie właśnie uwydatniają się wszystkie wady Matejki: postawy gminne, widziane okiem prozaika — nie artysty; kompozycji żadnéj: postacie poprzystawiane, poprzylepiane jedna obok drugiéj — i tego dostawiania figur dopatrzyliśmy się we wszystkich obrazach Matejki. Ten sam gęsi procesjonalny szyk co w tym obrazku i w „Batorym“ powtarza się. Żaden obraz dotąd przez nas widziany, nie postał w głowie jego: ale na płótnie się mozajkował, że tak powiemy. Ztąd ta dekoracyjna manierowana sztywność i surowość w „Unji“ mianowicie. Andrjolego wzmiankowana dziewczynka — pewno nie jest córeczki jego portretem, jak dziewczynka w portrecie matejkowskiego potomstwa. A jeżeli ojciec Matejko nie oddał z takim polotem, z tą szlachetnością swéj córki, jak to oddał Andreoli w swéj dziewczynce, to widać dla tego, że oddał tylko — co miał w duszy.

Matejko na wszystko, nawet na swe własne dzieci, patrzy nie okiem artysty, ale dobrego, wzorowego gospodarza wiejskiego i bankiera; ztąd wszystko w jego obrazach tłuściutkie, wypasione, czyściutkie, uporządkowane i w materjalne bogactwo suto opatrzone. Takiéj kompozycji aliści jak Andreolego lub Jaroczyńskiego „Traktat toruński", lub Kossaka — cobyto z głowy i serca przelała się jednym odlewem na płótno, — takiego obrazu Matejko — nie zdolen zrobić, — jak znów nie zdolni nawzajem Jaroczyński czy Andreoli tak ukoloryzować obrazu jak Matejko, któryinu pod tym względem chyba ślepy nie przyzna pierwszorzędności pomiędzy celnymi Europy malarzami. I to stanowi wartość Matejki jako malarza — ale nic więcéj.

Wł. hr. Chotomski.

Z banieczki na bańce.

Wiersz napisany do „Warty", dzieła zbiorowego na cześć X. Bażyńskiemu, — nie odebrany na czas a spóźniony przeto do przesyłki.

Ciasnoż, o! duszno w ciała powłoce...
Tyle tam światów jasno migoce,
Pędzą tak chyżo porwane wirem
Po za téj ziemi ciasnym szafirem..
Puszczaj mnie pyle w skórzannéj bańce,
Coś mnie tu przykuł jak pasożyta!...
O, tam na słońcach inni mieszkańce, —
Tam w lżejsze pęta dusza spowita!...

Puszczaj mnie! Puszczaj! Tam na Orjonie*)
Siedm złocistych słońc jakichś płonie!
Ztamtąd ja słyszę jakieś wołanie. .
Tam na Antares*), tam na Syrjusza*)
Wszędzie w około wabi pokusa,
A ty mi pyle przez mdłe źrenice
Wzrok mój zaślepiasz na tamte cuda,
I tu mi nawet ścieśniasz granice:
Bym nie znał, co mi spośrzedz się uda!...

Ja wiem o ziemio, żeś ty mydlanéj
Podobna bańce, co lśni tęczami
A tém jaskrawiéj, — nim się rozpryśnie!...
Wiem że banieczka, która mnie ciśnie
Długo nie zdoła więzić mi ducha;
Ale więźniowi — chwile: wiekami,
Toż tęsknie patrzy — czy zawierucha
Jaka nie zerwie muru z kratami!..

Pocom na bańce w bańce zamknięty?!
Czym ja — nim w ciałom został ujęty
Za śmiałom bujał w światów przestworzach?
Za chciwie kąpał się w światła zorzach?
Czym ja jak motyl w szalonym pędzie
Za bliskom Boga dotarł się ciepła:
Żem w niém popalił lotu narzędzie?
Że się ta błonka w okół mnie skrzepła?!...

I pełzać muszę w takiéj postaci:
Że nie przeglądam ducha swéj braci;
Że w ciało muszę oblekać myśli
Co nigdy siły ducha nie kreśli;
Co mi hamuje uczuć popędy
Najszlachetniejsze — i przenajczystsze,
A w czyn wcielone — zawsze i wszędy
Bracia je widzą w jakowymś blichtrze?.:.

Ciasnoż, oj ciasno w ziemskiéj oponie!
Jabym rad ujął ziemię w swe dłonie
I zbadał bytu wszystkie jéj prawa...
Jak się odbyła tych dusz obława?!..
Co je tu trzyma tak na uwięzi,
Że wbrew swéj wiedzy: iż dziećmi Boga
Światła, — miłoś i, — tylu się grzęzi
W ciemni — i widzi w bracie swym wroga!..

W bańce ze ziemi — na ziemi bańce
Duch mój uwięzion — na światów tańce
Patrzy — jak więzień z ciemnic, — z za kraty
Na pląsy wolnych, co ślą wiwaty!
Z za ścian zamglonych — jak w oceanie
Wątły wymoczek, trafiam — gdzie spojrzę —
Cuda, — i jak on patrzę się na nje —
A z njich żadnego jasno nie dojrzę!...

I co krok pytam: jak to? — i co to?
Choć potrącany, pełzam z ochotą
Z dziecięcą wiarą: że raz się uda
Dojrzeć — i przejrzeć — poznać te cuda
Dziś niepojętę przez bańki ściany!..
Jakżeż radośnie z bańki wytryśnie
Duch mój ciasnotą długą nękany,
Gdy się ma bańka ziemska rozpryśnie!...

Poznań, w marcu 1874 r.

Wł. hr. Chotomski.

*) Orjon, konstelacja któréj siedm słońc widomych oku. — Syrius, słońce najwidoczniejsze w konstelacji Wielkiego Psa — Antares, najwidoczniejsze słońce w konstelacji Skorpjona.

Opieka i Opiekunowie.

Powieść

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

— On jest tak dumny! tak pełen godności! Tak honorowy!

— Pobiegnę do niego zaraz i załatwię wszystko! pan Wincenty powstał, dotknięty słusznym żalem dziewczęcia. — Przybądź pani także do pani Dorażeńskiéj. Listy do baronowéj zatrzymam u siebie do jutra i...

Posłyszano szelest w przyległym pokoju: weszła baronowa.

— Excusez! przepraszała gościa — żem nie nadeszła zaraz, ale byłam przy tualecie.

Prawnik kilka grzecznych powiedział jéj wyrazów. Zapytała o listy od państwa Węgielewskich. Odrzekł, że zjadłszy śniadanie, bo głodnym był jak wilk, wprost od restaurant'a tu przybył, więc i nie widział jeszcze walizy swojéj w hotelu.

— Listy przyniosę jutro — dodał — bo jestem i strudzonym bardzo... Godzina szósta! spojrzał na zegarek.

Baronowa badawczym wzrokiem zmierzyła młodą dziewczynę.

— Panna Cecylja także jeszcze swoich nie odebrała listów? zapytała.

— Wszystkie są w walizie.

Nawrociński ze zwykłą sobie wprawą poprowadził rozmowę. Oświadczył, że przypadkowo jedynie do Bruxeli zajrzał, bo celem jego podróży jest Paryż; ze oboje państwo Węgielewscy tu przybędą, skoro tylko Żdzisio przetrwa szkarlatynę. Palnął Francuzce komplementów parę — a potém panie pożegnał.

Cecylja udała się zaraz do swojego pokoju. Zarzuciła pospiesznie okrywkę, włożyła kapelusz i zawołała swoją kamerystkę Gudulę. Poczém wyszły obiedwie, bez wiedzy pani domu, która swojego zwykłego, karcianego spodziewała się kółka. Wiemy przecie jak troskliwą opiekunką była pani baronowa.

Wieczorem pan Wincenty, opisawszy Solińskiemu przybycie swoje do Bruxeli i powyższą rozmowę z Cecylją, tak pismo swoje zakończył:

„Biedna Cesia, przeczytawszy list papy-ojczyma, była w rozpaczy, że jéj Cyd rycerski: Percé jusqu'au fond du coeur d'une atteinte imprevue aussi bien que mortelle — porzuci Bruxelę, wyzwie papę-ojczyma za obrazę honoru na rękę — legnie, albo gdzie w świecie przepadnie. Żal mi więc było panienki i pospieszyłem do niego. Bo po prawdzie, i sam począłem lękać się tego, znając zkądinąd drażliwą honorowość naszego bohatyra: mógłby był na pojedynek à outrance wyzwać pana Idziego — czemu, oczywiście, było potrzeba zagrodzić. — I cóż powiesz? Zastałem go prawie już na wylocie — i naprawdę z onym krwiożerczym zamiarem. Panienka poznała się dobrze na swoim Bajardzie.

Uspokoiłem go, ugłaskałem. Nadeszła Cecylja i, naturalnie, że jéj padł do stópek. Płakali z rozczulenia oboje — boć i Bajardowie płakują! — Pani Dorażeńska, rozumie się, z niemi, bo u kobieciny łez kupić nie potrzeba. A nie ręczę za siebie, czyli tam przy takiéj arcy-czułéj scenie, coś nieproszonego nie stanęło mi na bystréj kiedyindziéj źrenicy. Człowiek babieje także!

Co teraz stanie się daléj? Oczywiście, że Numa pójdzie za Pompilius'a. Ale, jak się to stanie? Ha!... od czegóż miłość spotęgowana i silna wola panny, wyemancypowanéj z pod safandulstwa opieki — z pod władzy papy-ojczyma — opryszka, na którym już poznała się dobrze. Wreszcie z pod skrzydeł mamy Lafiryndy, jéj potępienia godnéj słabości — i wybranéj przez nią chaperonne'ki, płatnéj a niesumiennéj. Piękny komplet koncertowy, zaprzeczyć niemożna!

Pannę oświeciłem we wszystkiém — bo i pocóż jéj zostawić przysłonę na oczach? — Niechaj przy pomocy naszéj ratuje się i sama — bo dziś godłem każdego być powinno: Selfhelp! — Sam się podźwignij, jak możesz! — Popłakała — ależ łzy te pójdą jéj na zdrowie i staną się zdrojem szczęśliwości dla niéj.

Pouczyłem i Stefana Żarczyńskiego — i zbawczą dałem mu radę.

Znaleźliby się zapewne ludzie, którzyby mnie połajali za to, ale ja mówię sobie: tak mi nakazywało poczucie sprawiedliwości i sumienie. Uszczęśliwię dwoje ludzi i uchronię matkę Cecylji — przynajmniéj co do córki — od ciężaru własnego wyrzutu, jakiby ją późniéj niewątpliwie gorżką przytłoczył zgryzotą. Doświadczy ona tego podostatkiém, co do biednego Adolfa!

Jutro jadę do Paryża.

Do zobaczenia, poczciwcze!

Wincenty."

* * *

Po przeczytaniu listów, pani de St. Gilles poprosiła lorda Ponsonby nader uprzejmym bilecikiem do siebie. Ale szlachetno-dumny Albiończyk — wyczytawszy w oku polskiego dziewczęcia inne uczucie a nie miłość dla siebie — wymówił się od tych odwiedzin pod jakimś tam pozorem. Narzucać się nie chciał, bo tego zakazywał honor. Nie chciał zatruwać spokoju panny, bo tego wzbraniała uczciwość. Baronowa zatém oświadczyła mu przez jakiegoś markiza — domownika swojego: że rodzice Cecylji przychylni mu są bardzo; że przybędą do Bruxeli i tę sprawę załatwią — bo panna grymasi tylko, jak to panny czynią zwykle.

Czy sir Archibald uwierzył temu, nie okazał niczém. W towarzystwach nie bywał prawie wcale — a odwiedzało go jedynie uczonych kilku. Bywał nadto młody i zdolny pianista, który po długich grywał mu godzinach — i malarz młody, który go malował.

Pani baronowa srożyła się strasznie na amourette'kę Cecylji dla Stefana — czegoby i we śnie nie była przypuszczczała nigdy. Srożyła się na panią Dorażeńską — i zakazała pannie bywać u niéj. Cecylja na pozór spokojna zupełnie, bo wzmocniona dobrą otuchą, dzięki panu Wincentemu! — Nadto i pouczona przez niego — nibyto zakazowi temu podległa. Potrafiła ukołysać wzburzenie opiekunki swojéj, a gdy ta do kart zasiadła, wymykała się z Gudulą i odwiedzała potajemnie panią Dorażeńską — gdzie naturalnie i swojego widywała rycerza. — Taką to była opieka nad dziećmi po Tytusie Morowickim!

* * *

Pan Wincenty Nawrociński do p. Jana Solińskiego.

Paryż 22 marca 1869.

Strasznym jest stan Adolfa, kochany mój Janie! — Wycieńczenie okropne — wysilenie zupełne — apatja — gorżka, bolesna — a obok tego jeszcze zbudziła się miłość życia, co tém boleśniejszym jego czyni widok.

Śliczny chłopiec! Podobny do Cecylji i do nieboszczyka Tytusa — a zarazem odziedziczył i coś z piękności matki. Ale to już trup dzisiaj: blady jak mara — usta sinawe — nos kształtny z piętném śmierci — oczy szklannego wzroku gdzieś tam zapatrzone — skronie dziwnie zapadłe — cera, jakby ukredowana przy ciemnym, niemal czarnym zaroście, przerażającym jego czynią widok. Ręka wychudzona pali, jakby gorące żelazo. Każe sobie ciągle coś do jedzenia podawać, ale nic nie spożywa. Pije dużo selterskiéj wody — lecz i szampana sobie podawać każe. — Siedzi biedak w krześle poręczowém, w najmodniejszém déshabillé, albo téż leży na szeslongu. Mówi mało — sądzę, że nie wiele i słucha tego, co mu mówimy, jak gdyby myśli nie miał; albo téż, jak gdyby myśl jego daleko, gdzieś daleko błądziła. A straszne, gorżkie, okropne muszą to być myśli.

Lekarze — jak to oni — radzą zmianę miejsca i klimatu. I Adolf sam po raz pierwszy wyrzekł: „Może i pojechałbym do kraju." — Nie użył wyrażenia: „wróciłbym do kraju" — co mnie szczególniéj raziło. — Uchwycił się téj myśli, jak rozbitek wątłéj deski — a ja wszystkiemi popieram ją siłami. Czynię już nawet przysposobienia do podróży. Doktorzy chcą tylko wzmocnić go jeszcze, sztucznie oczywiście — roz-

budzić jakieś życie fizyczne — by w drodze ostatecznie nie zapadł. Nadto i piękniejszéj, ciepłéj zupełnie czekamy pory.

Z wierzycielami skończyłem. Aj! jakaż to poszła fortuna!

Przyjaciel i sługa
Wincenty.

VIII.

Na dzień drugi po przewodniéj niedzieli, odebrała pani de St. Gilles telegram: że le comte Węgielewski nazajutrz do Bruxeli przybędzie. Z tą kartą wpadła tryumfująco do pokoju Cecylji i dała jéj przeczytać.

— Więc sam tylko, bez mamy? wymówiła spojrzawszy na telegram.

— Zapewne sam — odrzekła baronowa. — Byłby przecie powiadomił, że i pani Węgielewska przyjedzie także. Kazałabym apartament urządzić dla niéj. Czy żałujesz, że mama nie przyjeżdża? — przeszyła ją Francuzka maleńkiemi, przenikliwemi ślepkami.

— Kocham matkę moją — odrzekła spokojnie — i szczęśliwam, gdy z nią jestem.

Cecylja rzeczywiście kochała matkę — ale nie zasmuciła się na teraz, że przybyć nie miała: w obec niesprawiedliwości i ucisku, uczucie prawdę zatraca i szczerość. — Powiedziała sobie: „Skoro walkę staczać potrzeba, to i lepiéj, że ją stoczę z ojczymem tylko, a nie z matką!“ — W obec mamy uległaby może... może!... pewnie! — Kto to wie? — Sama o sile wątpiła swojéj.

W godzinę potém wzięła z sobą Gudulę i udała się na nieszpory.

* * *

Pani de St. Gilles miała gości na poobiednią partyjkę — i zajęła się grą, jak zwykle. — Wybiła godzina ósma. Sądziła, że Cecylja jest w swoim pokoju — i kazała ją prosić, by zeszła. Ale nie było jéj jeszcze.

Szanowna dama zaczęła się niepokoić. Była pewną, że panna, bez jéj zezwolenia, poszła do pani Dorażeńskiéj: wzbraniała jéj przecie tego. Gudula miała nakaz surowy, by tam z nią nie chodziła... A pan Węgielewski właśnie jutro miał przyjechać! — Nagły płomień wybiegł na jéj zawiędłe policzki. Bezprzytomna niemal rozdała karty.

Uderzyła godzina dziewiąta. Pot wystąpił na czoło Francuzki. Walczyła z sobą: czyliby nie posłać do pani Dorażeńskiéj... Lecz kogo? — Może markiza? — Niepodobna!

Wtém powóz przed kamienicę zajechał. Z oczekiwaniem oczy we drzwi wlepiła... Otworzyły się: weszła pani Dorażeńska a za nią Cecylja. Baronowa odetchnęła wolniéj i powitała ją dość uprzejmie. Pani Dorażeńska wytłomaczyła: że spotkawszy Cecylję w kościele, zabrała ją z sobą na herbatę, a teraz sama panienkę odwiozła. Udała, że nic o zakazie jéj nie wie, pobawiła chwilę — poczém ją pożegnała i odjechała.

Obecni uważali, że Cecylja nigdy tak uroczą nie była, jak dzisiaj: w ślicznie zrobionéj sukience z białego kaszmiru; włosy miała ułożone przecudnie; na licu niby kwiecie różane; na świeżych ustach po nad wszystko wdzięczny uśmiech; w oczach coś dziwnie głębokiego i czarującego zarazem. Tylko na jasne jéj czoło chwilami chmurka zamyślenia powiała. Co jéj wszelako większego jeszcze dodawało powabu. Te uwagi jednak krótko nastręczały się tylko — bo i niebawem więcéj ich znowu zajmowała dama kierowa lub pikowa.

Gudula od pani baronowéj wielką oberwała burę, że z panną Cecylją do pani Dorażeńskiéj poszła. Tłomaczyła się, że przecie sceny zrobić nie mogła — ile, że pani ta pannę Cecylję pod rękę wzięła i uprowadziła. Zatém szła za niemi. Baronowa wciąż łajała — chcąc czemuś podobnemu na przyszłość zagrodzić. Aż wreszcie Gudula — czego nie bywało nigdy — z jakiémś opryskliwém mamroceniem wybiegła, co opiekunkę szanowną więcéj rozburzyło jeszcze.

* * *

Nazajutrz, około godziny 1 z południa przybył, wedle zapowiedzenia telegramu, pan Węgielewski. Baronowa wybiegła na jego powitanie, uradowana szczerze, że w nim silną będzie miała podporę. Opowiedziała mu z góry zaraz, co uczyniła, ażeby nadzieją poić lorda — i radziła, by monsieur le comte sam poszedł do niego.

Papa-ojczym zapytał o Stefana Żarczyńskiego. Francuzka oświadczyła, że pan Nawrociński ją zapewnił, jako może być zupełnie spokojną pod tym względem, bo pomówił z tym młodym człowiekiem obszernie i przekonał pannę Cecylję, jak postępować powinna. Dodała nadto, że nie pozwoliła jéj bywać u pani Dorażeńskiéj.

— Każ pani przywołać Cecylją — wyrzekł Węgielewski zadowolony.

Baronowa posłała po nią swoją kamerystkę.

Mademoiselle Nicaise wróciła, oznajmiając, że pokój jest zamknięty.

— Zamknięty? Francuzka pobladła. — Czyliż wyszła? Zapytaj odźwiernego.

Nikazja pobiegła. Po chwili wróciła z wiadomością: że panna Cecylja wyszła z Gudulą o rychłéj godzinie na mszą św.

— O któréjże wyszła?

— Jeszcze przed szóstą.

Francuzka posiniała.

— Jest już po pierwszéj — pokazał Węgielewski zegarek — to i gdzież ona tak długo bawi?

— Wstąpiła zapewne za sprawunkami... Musi nadejść zaraz — odrzekła baronowa, ale trwożnie jéj było na duszy.

Upłynęło pół godziny. Cecylji nie było.

— Posłać do pani Dorażeńskiéj! zawołał pan Idzi i groźno spojrzał na chaperonne'kę pasierbicy.

Baronowa kazała Nikazji wziąść fiakr i po pannę Cecylją pojechać. Minęło długie półgodziny. Niecierpliwili się strasznie, i papa-ojczym i szanowna opiekunka, wszystkiemi wyglądając oknami. Wreszcie, po długiéj półgodzinie, powróciła panna Nikazja — która znać nie spieszyła się bardzo, albo też po drodze jakiś własny, mały załatwiła interes. Baronowa poskoczyła ku drzwiom, pełna niepokoju i oczekiwania.

— Eh bien! Cóż tam panna Cecylja? zapytała gorączkowo.

— Niemasz jéj u pani Dorażeńskiéj — odrzekła kamerystka spokojnie.

— Niema?! Francuzka załamała ręce.

— Niema? powtórzył papa-ojczym, spojrzawszy piorunująco na opiekunkę. — To i gdzież jest?

Pokręciła w milczeniu głową, blada jak mara.

— Ha! wykrzyknął Węgielewski, czerwony jak burak. — Cóż to dzieje się tutaj?

Mon dieu! Mon dieu! jęczała madame la baronne, załamując ręce.

— Zobaczmy w jéj pokoju! zawołał Węgielewski nagle a przytomniéj.

Baronowa wybiegła naprzód, za nią zasapany pan Idzi, a w końcu Nikazja uśmiechnięta złośliwie.

Drzwi od pokoju Cecylji były zamknięte.

— Klucza! krzyknął papa-ojczym.

Klucza nie było: wzięły go z sobą. Kazano ślusarzowi otworzyć. W pokoju na pierwszy rzut oka niczego dopatrzeć się nie było można: wszystko w zwykłym przedstawiło się porządku.

— Listy! zawołała na raz jeden baronowa.

Dwa listy leżały na sekretarce: jeden do mamy, drugi do papy-ojczyma.

Węgielewski sapiący, posiniały, swój podjął — rozerwał kopertę i przeczytał:

„Łaskawy i kochany Papo!

Srogi zakaz i obelga bolesna, rzucona mojemu narzeczonemu, najszlachetniejszemu z ludzi — popchnęła mnie do rozpaczliwego postanowienia.

Będąc kochaną, pokochałam Stefana Żarczyńskiego. A wczoraj wieczór jego zostałam żoną: czcigodny kapłan w obec świadków kilku ręce nasze powiązał. — Może zasługuję na naganę — możem postąpiła sobie niewłaściwie — lecz sami popchnęliście mnie ku temu.

Nie było matki przy mnie — któraby mnie radą swoją była wspierała!... Żyłam i wzrosłam wśród obcych — bez opieki prawdziwéj i dozoru niemal. Bóg jeden strzegł mnie od złego!

Nacisk, bym żoną cudzoziemca została, pokochawszy rodaka — przyspieszył postanowienie moje. Nie mogłam postąpić inaczéj!

Za półgodziny wyjeżdżamy.

Błagam o przebaczenie!

Bruxela o 6 godzinie z rana. Cecylja.

Węgielewski zgrzytnął zębami — i rad byłby list ten w przerażoną twarz Francuzki rzucił. Rad byłby pomścił się na niéj, ale... powstrzymały go formy przyzwoitości towarzyskiéj.

Dokąd pojechali? Któż to wie? Albo, któż wyjawić zechce? — Gonić za niemi!... To i na cóżby się zdało? powiedział sobie w myśli. — Chciał pobiedz do pani Dorażeńskiéj i nagadać jéj impertynencji — ale, cóżby to pomogło?

Rozdarł kopertę listu, który Cecylja napisała do matki — i przeczytał go: był napisany z pokorą dziecięcą, z miłością i żalem — znać go ze łzami w oczach kreśliła:

„Wynagrodzimy tę przykrość najdroższéj mamie stokrotnie“ — pisała między innemi — „podwojoną miłością i pokorą dziecięcą. Stefan synem stanie się Twoim, synem kochającym, z poświęceniem całém — i będziemy odgadywali każdą myśl Twoją, najdroższa Matko!

Wybacz Mamo kochana i pobłogosław!

Za tygodni parę będziemy u stóp Twoich. — Z drogi napiszemy obszerniéj.

Przebacz Matko! Przebacz! Błagamy!

Całuję, Mamo, stopy Twoje z pokorą i miłością!

Przywiązana córka

Cecylja.

Prośba do Polek.

„Czego kobieta chce — tego chce Bóg.“ Kuszeni tém przysłowiem, zanosimy prośbę do naszych pośredniczek między niebem a ziemią — do Polek, ażeby się raczyły sumiennie zastanowić nad następującemi uwagami, — jeżeli im miła polskość, t. j. nasza mowa, obyczaje i zwyczaje.

Nie ma znaczniejszego polskiego domu, w którymby nie było jakie czasopismo ilustrowane, mianowicie niemieckie, francuzkie lub angielskie a zwłaszcza tyczące się ubiorów, mód lub kobiecych robótek. — Znamy domy polskie, w których w stosach śpiewów włoskich, niemieckich i francuzkich — zaledwie jeden lub kilka śpiewów polskich się znajdują.

„Victoria“, „Bazar“, „Haus und Welt“, „Journal des Modes“ i t. podobnych długi szereg, — zadziwiających taniością i doborem rycin i artykułów, pism; — setki „canzonette, lieder, chançons“ przesuwały się nam przez ręce — w domach polskich, a z rzadka — polskie tak liczne śpiewy warszawskie lub „Dziennik mód“, „Bluszcz“ i t. d.

Na zapytanie: „Czemu to?“ — mianowicie we Wielkopolsce, Prusach i Galicji odpowiadano nam: „bardzo prosta przyczyna! Za kilkanaście złotych polskich rocznie mamy obce arcydzieła, — a lichotę za tyle rubli lub florenów pod polską firmą — tych samych nieomal rycin lub melodji — i zawsze późniéj niż cudzoziemskie.“ Mianowicie po miastach, w skromnych domach mieszczańskich, gdzie rzeczywiście przy licznéj rodzinie z półgroszkami trzeba się rachować i dobrze spekulować, — na pozór ta odpowiedź jest — niby słuszną i uzasadnioną.

To prawda! Gdzie biją 100,000 exemplarzy jakiego pisma, — to nakład na 100, na 50, ba na jeden exemplarz, na jeden arkusz coraz to droższym się staje, bo koszta honorarjum dla autora przypuściwszy 30 złotych za arkusz druku, za ryciny malarzowi n. p. po 12 złp., za wyrytowanie tego rysunku 20 złp., za ułożenie i odbicie i papier 40 złp., złożenie, opakowanie, zafrankowanie do przesyłki i t. d. 8 złp. za 100 exemplarzy — wyniesie 110 złp. samych tylko wydatków; jednego numeru zatém 1 złp. 3 gr., co czyni 52 numerów 57 złotych rocznie, — dodawszy 3 złp. zysku na rok dla wydawcy — 10 tal. rocznéj prenumeraty — przy 100 odbiorcach. Jeżeli tę liczbę podniesiemy do 1000, nakład podwyższy się tylko o wartość papieru i druku — przypuśćmy o 60 złp. — przeto numer kosztować będzie: już nie 1 zł. 3 gr., ale około 6 groszy czyli 10 zł. 12 gr. rocznie, a przytém wydawca ma 30 zł. zysku. Podniósłszy liczbę odbiorców na 10,000, tego samego pisma arkusz wypadnie około 3 gr., co uczyni 26 gr. na rok prenumeraty — a 3 zł. zysku wydawcy.

To zestawiwszy wypadnie:

przy	100 odbiorc. płaci każdy	60 zł.	a wydaw.	zysk.	3 zł.
„	1000 „ „	„ 10 „	„	„	30 „
„	10,000 „ „	„ 26 gr.	„	„	300 „

Z tego wypada, że jeżeli pisma cudzoziemskie są tak tanie, każda z Polek abonując się do nich przyczynia się do uczynienia ich jeszcze tańszemi, — a nie abonując pism polskich tego samego rodzaju, ta sama Polka przyczynia się o tyle do podrożenia pism swojskich — polskich.

Dla tego to nasi rodacy artyści muszą szukać u cudzoziemców zysku, po Lipskach, Wiedniach, Paryżach — dla tego nasi autorowie i uczeni — muszą służyć obcym.

Czyjaż to wina?

Naturalnie tak Bóg chce — bo tak kobiety nasze chcą — wypadłoby, gdybyśmy mieli opierać się na przysłowiu. Ależ tego Bóg chcieć nie może — i nie chce! Więc ta wola Polek — wspomagania literatury, sztuk pięknych i przemysłu cudzoziemskiego swemi pieniędzmi jest widocznie przeciwną woli Boga, który nas na narodowości podzielił — dla podziału pracy w ludzkości. I jakżeż to panie w tym względzie pośredniczycie między niebem a ziemią? Upraszamy o odpowiedź.

Ale nie na tém koniec.

Czytając „Haus und Welt“, „Victoria“, „Journal des Modes“ i t. d. wsiąka co tydzień coś niemieckiego, angielskiego, francuzkiego mimo woli i wiedzy w dusze

czytelniczek i czytelników, boć to są wszystko pisma tendencyjnie wynoszące swe literatury, broniące swych mów, zwyczajów i obyczajów. Ztąd płynie co tydzień — lekceważenie polskości — w domy Polek; ztąd anglizują się, francuzują, niemczą się, homeopatycznie wprawdzie, ale zawsze nasze domy, nasze obyczaje, nasze zwyczaje — i to gorsza!

Czyjaż to wina?

Oczywiście — nie Polek, lecz pokusy obcych, „taniości i dobroci artykułów i rysunków“ — odpowiadacie nam panie.

A panowie mężowie narzekają na obce rządy, na obcy nacisk, na obczyznę w szkołach, urzędach — narzucaną nam! — zupełnie tak logicznie i tak słusznie jak ich żony!..

A więc cóż zrobić?

Bardzo, bardzo radzilibyśmy, ażeby słowa Szlązaka Cięciały czy Stalmacha, czy Miarki — wyrzeczone na zjeździe obchodu „Unji we Lwowie“ do nas Polaków żeby one stały napisane nad każdém łóżkiem Polaka lub Polki: „Panowie! zdumiewać nam przychodzi nad tym szerokim poglądem waszym na świat i ludzi, przy którym, nam prostym ludziom — w głowach się mąci. Zdumiewamy nad waszém poświęceniem się na wielkie rozmiary, na które nas nigdy nie stało — bo my biedni. Ale pragnęlibyśmy ażebyście i na nasz sposób zwrócili uwagę, ażebyście od nas nauczyli się czynić maluczkie poświęcenia — z fenigów, z chwilek — nie jednorazowo ale codziennie, a i nam i wam będzie lepiéj! Szkoda, że tegoście nie umieli i jeszcze nie umicie!“

Jak sobie kto pościele — tak się wyśpi!

Nie narzekajmy na obcych, nie skarzmy się, nie łudźmy się jakiémś „wybraniem“ jako naród — do ukrzyżowania. Te męki nasze są **skutkami** naszych usiłowań — jako i ustanie ich od nas zawisło. Wolności nikt nie daje, ona płynie jak woda, jak powietrze, ale trzeba ją czerpać, brać samemu w piersi i oddychać.

Co do pism — ażeby je mieć tańsze: niech każda abonentka obcego pisma zgłosi się do księgarni sobie najbliższéj*) i niech poda cenę pism cudzoziemskich — jaką płaci i niech zażąda obniżenia Bluszczu, Dziennika Mód i t. d. a nakładcy zgodzą się, bo ile stracą na cenie niższéj, zyskają na ilości odbiorców. Jeżeli zaś zysk nakładców będzie bardzo znaczny, znajdą się konkurenci i inne tańsze pisma powstawać będą. Im tańsze pisma, tém łatwiéj ich nabyć, tém przystępniejsza oświata, tém więcéj płacą autorów, artystów, drukarzów, tém większy ruch w księgarniach i t. d.

Polki! pamiętajcie!... Czego kobieta chce — tego i Bóg chce!... ale czego Bóg nie chce i kobieta nie powinna czynić!

*) W téj mierze i nasze księgarnie: K. Rejzner, 15, ulica Wodna i róg Garbar — lub Edmund Callier, ul Wilhelmowska chętnie będą pośredniczyły.

Sprawa budowli teatrzyku polskiego na podwórku p. Hebanowskiego (czytaj: Teatru w ogrodzie Potockiego w Poznaniu)

przedłożona uczonéj Redakcji i właścicielowi Wiarusa.

Parturiunt montes...

Welinowy, glansowany, drogocenny papier, zaszczycony czernidłem Dr. Łebińskiego, t. j. „Wiarus“ — nas, półgroszową bibułę nadrukowaną u Merzbacha, t. j. „Tygodnik Wielkopolski“ (zob. Nr. 19, str. 192 tego pisma) zbywa — milczeniem.

Czy tak?

Pismo dla średniego stanu polskiego po swym najniższego stanu dowcipie, przybrało w obec naszego niedyskretnego zapytania postawę godną najwyższego stanu — arystokracji tronowéj!

A któż może publiczność i akcjonarjuszów dokładniéj objaśnić — niż rzeczywisty redaktor i właściciel „Wiarusa“ p. Dr. Władysław Łebiński?!...

W komisji wykonawczéj Komitetu teatralnego zasiadali w 1871 r. i zasiadają dziś jeszcze zapewne panowie: A. Krzyżanowski, W. Jerzykiewicz, Leon Smitkowski, Mieczysław Łyskowski i Dr. **Łebiński**. Oprócz tego p. Dr. Łebiński sprawował honorowy urząd kasjera tego komitetu za 500 tal. rocznéj płacy.

Gdyśmy w nieświadomości: dokąd po światło w téj sprawie się udać? uderzyli w stół — odezwały się — nożyce.

Upraszamy je tedy, ażeby raczyły jak najłaskawiéj rozstrzygnąć wątpliwości, — które jako organ publiczny i w imieniu publicznego interesu — ninie jeszcze zrozumiałéj stawiamy, — a jak najzrozumialéj ostatecznie postawić mamy — odwagę — i powinność.

Powiadają sobie, jakoby przeciw zamianie ogrodu Potockiego — na podwórko p. Hebanowskiego — w swoim czasie zaprotestował w protokule p. A. **Krzyżanowski**. Przeciwnie zaś jak najżarliwiéj popierali tę przemianę pp. Dr. **Łebiński** i W. **Jerzykiewicz**.

Jedni złośliwie wykazują, że na téj zamianie zyskał arcy-patrjotycznie i bezinteresownie p. Hebanowski — tylko 14,000 tal. — za pełne szlachetności odstępstwo dla sprawy narodowéj króciutko przedtém kupionego podwórka, przed szałem kupowania kamienic, — a które podwórko, w chwilach najwyższego szału, ledwo doszło — do téj ceny.

Z drugiéj strony, przyjaźni p. Hebanowskiemu tłomaczą go, — że był wciągnięty w tę zamianę przez pana Łyskowskiego, w którego interesie leżeć miało, ażeby p. Fajans się pozbył wsi Bielaw, którą zapłacił owemi 14,000 tal. p. Hebanowski.

Ten odkup — jak i sprzedaż ogrodu: darowanego przez Bolesława Potockiego, a wartującego wówczas 30,000 tal., zamianę tę ogrodu na podwórko w którém: „ani **stopy kwadratowéj** nie ma na ogród, — a za którego cenę można było nabyć 4 ruchomości na Św. Marcinie z 3—4 morgami dość ładnego ogrodu (jak nam ktoś pisemnie donosi) wartości 14,000 tal.“, — stał się podobno wbrew statutom czyli ustawie: bez wiedzy — bez zezwolenia Walnego zebrania. Ta zamiana atoli zmienia zupełnie sens pierwszego paragrafu ustawy, — z rzeczy saméj czyni niedorzeczną nazwę, czczą firmę, nonsens: przezywając podwórko p. Hebanowskiego: Ogrodem Potockiego.

Mówią nadto, że p. Hebanowski oprócz tego zysku, dostał 3,000 tal. za — doglądanie budowli.

Zastanawia wielu i to: że fabryka rektyfikacji spirytusu w ogrodzie Potockiego pod firmą A. **Potworowskiego**, należy do właścicieli firmy banku Potocki, Kwilecki i Sp., t. j. do pp. Mieczysława hr. Kwileckiego, Bolesława Potockiego i Mieczysława Łyskowskiego, członka wyżéj wspomnianéj komisji.

Więc to — co podarował Bolesław Potocki na teatr polski, — to znów odkupił sobie dla fabryki rektyfikacji spirytusu? — Więc członek komisji teatralnéj p. Mieczysław Łyskowski — sprzedał sobie, jako man-

datarjusz teatru polskiego, to, co darowaném było teatrowi?

Tak się ta rzecz publiczności przedstawia. Co w tém prawdy?...

Gmatwają jeszcze więcéj tę ciemną sprawę i te okoliczności, że:

1) inny drogocenny, welinowy, glancowany papier, zaszczycony czernidłem Dr. Łebińskiego, t. j. „Dziennik Poznański“, redagowany przez członka Dyrekcji teatru polskiego p. Franciszka Dobrowolskiego, referenta (do niereferowania zapewne), ani słówkiem nie raczył nawet publiczność zawiadomić o uroczystości położenia kamienia węgielnego pod ów teatrzyk, — dopiero po zagrzebaniu tego kamienia pokątnie i tajemniczo — wstydliwie — t. j. dnia 9 kwietnia dowiedzieliśmy się, że się ta prywatna ceremonja odbyła pomiędzy prezesem Adolfem hr. Bnińskim, prezesem dyrekcji Ignacym Grabowskim, kasjerem Dr. Wł. Łebińskim, budowniczym panem Hebanowskim, redaktorami: Dziennika Poznańskiego Franciszkiem Dobrowolskim, Kurjera Poznańskiego Żychlińskim, Tygodnika Wielkopolskiego Dr. Olędzkim i „kilkunastu osób ze wsi i miasta“, a pomiędzy temi artystka teatru Grabińska i kilku aktorów (zob. Nr. 83, 1873, 10 kwietnia).

Wówczas napisał redaktor Tygodnika Wielkopolskiego (str. 182) Dr. Olędzki:

„Baliście się zapewne narodowéj demonstracji, a zrobiliście sami stokroć gorszą, — bo demonstrację serwilizmu, za którą wam kiedyś historja wystawi pomnik ze zajęczych skórek...“

Dziś, po roku — my nowa Redakcja — pytamy się: Czyście się wstydzili podwórka? czy publiczności?

Chwilowo nie oskarżamy nikogo, nawet chcemy wierzyć, iż wszystko to się stało — naturalnie, uczciwie.

Ale:

2) rozdraźnienie uczonéj Redakcji „Wiarusa“;

3) ubliżające prywatne pogadanki, nowinki i pytania jak wyż wymienione;

4) zbieg pozorów, któreby nas w innych okolicznościach rozśmieszyły;

5) uporne milczenie ze sprawozdaniem ze składek, z wydatków jak i z czynności: tak Rady nadzorczéj, jak Dyrekcji, jak przez nas zapytanego kasjera i członka komisji wykonawczéj, jak i prasy — z któréj: Dziennik Poznański redagowany przez Referenta, — a Kurjer Poznański przez zbierającego w Galicji i Krakowskiém składki na ten „teatr narodowy.“

To wszystko niepokoji i akcjonarjuszów i publiczność tak tu, jak w Prusach, Krakowskiém i Galicji, — i daje szerokie pole do oszczerczych domysłów i plotek i wywołuje nawet w Niemców kółkach szydercze uwagi o naszém niedołęztwie: „Góry w połogu!... Rodzi się śmieszna — mysz!“

Tylko światło prawdy tę ciemność rozproszyć zdoła. Jakkolwiek przykro nam, że wplątane w tę sprawę są i osoby, dla których mamy cześć głęboką, a mogą nam nasze wystąpienie wziąć za złe, — z żalem, ale z obowiązku — wyraźnie teraz już nie prosimy, ale wzywamy p. Dr. Władysława Łebińskiego, jako tego, który nam się sam — samowolnie, może nierozmyślnie — nawinął, ażeby nam dał to światło prawdy.

Milczeniem dziś już zbyć się nie damy i wywołamy jeżeli nie od njego — to od innych odpowiedzi jasne i godziwe — nie dla nas, ale dla całego kraju, — a mianowicie dla akcjonarjuszów Galicji, Wielkopolski, Prus i Krakowskiego.

Wł. hr. Chotomski,
redaktor naczelny.

ROZMAITOŚCI.

— **Engeström Wawrzyniec** hr. — Karól Lineusz, życiorys z portretem Warszawa. 1874. Kroniki Rodzinnéj nakład, in 16. 85 stron.

O téj maleńkiéj xiążeczce możnaby bardzo wiele napisać. Tylko czujący w sobie krew szwedzką ze sercem czysto polskiém mógł stać się takiéj xiążeczki autorem. Przeczytaliśmy ją dopiero dwa razy — i wrócimy do niéj. W śmieciach materjalizmu nowoczesnego — tylko takie perły ronić można. Jest to szlachetny protest przeciw obecnemu kierunkowi ogółu pod formą życiorysu genjalnego naturalisty — a tém wymowniejszy, że się na materjalizm nie skarży, — ale postacią Lineusza niby pługiem przerzyna i wywraca chwastem porosłą niwę — by ją bujnym plonem żniw zapełnić.

W małych zarysach, autor całą wielkość téj postaci znakomicie odcharakteryzował. Jest to widocznie jakieś skrócenie obszerniejszego dzieła — pisanego przez uczonego naturalistę — ale wykonane umiejętnie, a najważniejszą i najcenniejszą téj pracy zaletą jest, że nietylko rozbudza zapał do nauki, zjednywa jéj cześć, ale i rzuca błogie ciepło w duszę Polaka dla Szwecji i Holandji kraju i mieszkańców.

Dobrą krytykę tego dziełka zamieścił „Przegląd lwowski“ str. 576, 1874, maj 1, w kilku treściwych słowach, które tu z przyjemnością przytaczamy:

„...Z dziwnym wdziękiem pióra i ciepłém chrześcijańskiéj duszy napisaną xiążeczkę przez W. hr. E. p. t. „Karól Lineusz“, należałoby polecić do czytania młodzieży naszéj. Niech czyta z jakiemi to trudnościami walczył wielki botanik, z jaką godnością ponosił przykrości, a jak religijnym i pełnym prostoty był umysł tego uczonego męża, który pozostanie na zawsze chwałą swéj ojczyzny. Hrabiemu Engeström wdzięczni być powinniśmy, że z dziejów literatury i poezji szwedzkiéj najpiękniejsze kwiaty na grunt polski przenosi.“

Mówiąc o Lineuszu — korzystamy tu ze sposobności która się nadarza, ażeby zwrócić uwagę czytelników, na jakie niebezpieczeństwo narazić może część społeczności jedna myśl, — jeden wyraz wyrzeczony nierozmyślnie i nie naukowo — chociaż przez tak szlachetnego, rzeczywiście wielkiego i człowieka i uczonego. Dziś nie możemy mieć nawet wyobrażenia o czci dla Linné'a, jaką mieli ukoronowani jemu współcześni. Jego dzieła stały się nawet modą. W swojém „Systema naturae“, po łacinie pisaném, ogłosił naukowy następujący nonsens: „Trawiaste rośliny są niby lud, najniższe z wszystkich roślin (co nie prawda), a im więcéj się je marnuje, tém silniéj rosną“ (i to mylne). Zdanie to, przez najpotężniejsze wówczas osoby czytane z pełną wiarą w onego prawdę, przyczyniło się niemało do surowego, bezwzględnego postępowania z ludem w Europie w XVIII wieku — i wzmogło dla bliźnich ubogich pogardę, — o któréj dziś Bogu dzięki już w cywilizowańszych krajach kuli ziemskiéj nie mamy pojęcia.

Skrzynka do listów.

X. J. Cz... w Antwerpji: Części drugie „Ojcze nasz“ i „Wspomnień ułana“ nie wyszły dotąd. Portorjum wynosi 11 sgr.

Odpowiedzialny redaktor Wilhelm Pohl. — Nakładem E. Calliera. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Główny skład w Poznaniu w księgarni Tygodnika Wielkopolskiego, w księgarni K. Reyznera i u M. Leitgebera.